FST - ZAPISKI FESTIWALOWE

Wtorek

Jeszcze przed oficjalnym otwarciem mogliśmy zobaczyć spektakl z Krakowa, zrealizowany na podstawie książek Lewisa Carrola. ***Na L...*** - tak zatytułowała przedstawienie reżyserka Aleksandra Konieczna - robi z Alicji dorosłą kobietę, która do dziwnej krainy dwóch królowych przenosi się na skutek samochodowego wypadku. Częściowa utrata pamięci nie pozwala jej odpowiedzieć na wielokrotnie zadawane pytanie: kim jesteś? Kłopoty z tożsamością miały być chyba tematem przedstawienia, ale całą treść zdominowały rozwiązania formalne: lingwistyczne, wokalne i scenograficzne atrakcje, mające pokazać dziwność rzeczywistości "krainy czarów". Czegóż tam nie mieliśmy: gra słów, kampowe przebieranki, parodie Bee Gees, kalejdoskop scen i scenek, które miały nas zadziwić, ale po pewnym czasie męczyły. Alicja (w tej roli udanie oddająca zagubienie Monika Frajczyk) w pewnym momencie wykrzyczała słowa: *Ja chcę stąd wyjść!* Okadzony nadużywanym przez realizatorów dymem, przyznałem jej rację. Oprócz głównej roli na uwagę zasługuje też kreacja Bartosza Bieleni (Król).

Po tym małym falstarcie przyszedł czas na oficjalne rozpoczęcie festiwalu. W części artystycznej wystąpili studenci III roku z wiązanką przebojów, przerobionych na piosenki o dolach i niedolach młodego aktora. Bardzo to było śmieszne, choć czasami żarty podszyte były gorzką ironią (dyrektor oferujący 1000 zł na miesiąc za pełną dyspozycyjność). Przebrani za banany, koguty i co tam jeszcze aktorzy kpili z uczelni, zawodu, ale na szczęście także z siebie, ze swoich nadziei, egzaltacji i braku pomysłów. W jednym momencie trochę przesadzili - tekst podłożony pod utwór Bregovića miał o jedno przekleństwo za dużo. Trochę pieprzu potrawę doprawia, za dużo przypraw psuje jednak smak. Potem były oficjalne powitania (Ich Magnificencje, jurorzy, sponsorzy, publiczność) i przemówienie powitanego autentycznym aplauzem rektora. Mariusz Grzegorzek stwierdził, że choć nie lubi festiwali, to akurat tego festiwalu jego niechęć nie dotyczy, gdyż jest to festiwal o wielkiej pozytywnej energii spotkania. Zanim zaprosił na scenę pozostałych rektorów, zapowiedział projekcję filmu *Śpiewający obrusik*. Rektor zapowiadający na tle zaprojektowanego przez siebie plakatu (cóż z tego, że nie podpisany, skoro każdy łatwo rozpozna ten styl) swój własny film to może trochę przesada. Na szczęście Mariusz Grzegorzek wszystko robi z wrodzonym wdziękiem. Nawet przesadza z wdziękiem.

Potem była projekcja filmu, którego znaczenia nie sposób przecenić. To pierwszy w historii wydziałów aktorskich film dyplomowy. To także podwojenie szans dla łódzkich aktorów na pokazanie się ludziom z branży - nie tylko na tym festiwalu, film ma być pokazywany w Gdyni, być może znajdzie też dystrybutora. Fakt, że udało się znaleźć pieniądze na pełnometrażową produkcję musiał kosztować wiele wysiłku. W dodatku nie był to wysiłek zmarnowany, bo film jest naprawdę dobry. Każda kolejna z czterech części jest coraz lepsza. Pierwsze trzy to paradokumentalne etiudy o ciemnych stronach życia młodych ludzi we współczesnej Polsce, czwarta to oparta na trójdzielnej kompozycji baśń, która nadaje opowiedzianym historiom metaforyczną ramę. Pomiędzy historiami fragmenty making off, sugerujące lekki dystans do całej sprawy.

Gdyby nie kompozycja całości i konieczność obsadzenia wszystkich studentów IV roku z pierwszej części można by bez bólu zrezygnować. *Chłopiec i pies* pokazuje beznadziejną sytuację żyjącego w blokowisku młodego człowieka, dla którego jedynym przyjacielem jest pies. Wielki, agresywny potwór ma w sobie więcej ciepła niż matka, dziewczyna i koledzy razem wzięci. Większość scen razi

sztucznością, a już dialogi w scenie osiedlowej imprezy wołają o pomstę do nieba (tak sobie zdolna młodzież wyobraża rozmowy niegrzecznej młodzieży). Jędrzej Wielecki ratuje jakąś prawdę tej historii.
Lepiej jest w drugiej opowieści, choć tu też dialogi, a właściwie monologi pary narkomanów jakoś nie przekonują. Wymowniejszy od słów jest obraz, zwłaszcza epileptyczny taniec na środku ulicy (Barbara Wypych). Podobała mi się Anita Tomczak jako dziennikarka przerażona sytuacją, w którą się wplątała swoim naiwnym reportażem. Najlepiej jest w trzecim psychologiczno-dokumentalnym szkicu. Młode małżeństwo bez pieniędzy i płacz dziecka jako tło awantury o naleśniki. Mocne i prawdziwe, autoironiczne jako portret pokoleniowy. Dobre role Anny Mrozowskiej i Macieja Miszczaka.
A potem jest część czwarta i baśniowy klimat, wykreowany w łódzkich i podłódzkich plenerach. Król ma trzy córki - dwie starsze są złe, a najmłodsza dobra. Dwie starsze chcą klejnotów, najmłodsza chce śpiewający obrusik. Ta czarodziejska tkanina przywołuje księcia zaklętego w orła i wielka miłość czeka młodą parę. Ale złośliwość sióstr wszystko psuje i grana przez Kaję Walden najmłodsza córka musi rozpocząć pokutną podróż. Znalezienie lekarstwa wymaga ofiar, ale wszystko dobrze się kończy. Z wielkiej księgi opowieść czytał (bardzo zresztą dobrze, nie wpadając w parodystyczną przesadę) Mikołaj Chroboczek. Czy wpisanie współczesnych historii w baśniowo-mityczną ramę może nadać im sens? Czy zło dzisiejszego świata można rozważać w kategoriach ofiary i pokuty?

Środa

To był dla mnie dzień łódzki - najpierw obejrzałem bardzo dobry *Ślub* w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego, a potem *Jungle people* Mateusza Pakuły w reżyserii Pawła Świątka. Spektakle zrealizowane w odmiennych poetykach, pozwalające pokazać młodym aktorom zupełnie różne umiejętności.

Więcej uwagi należy się sztuce Gombrowicza. Choć reżyser w jednym z wywiadów powiedział, że w dużej części o kształcie przedstawienia zadecydowali studenci, to jednak oglądając przedstawienie nie mogłem uciec od porównań ze *Ślubem* Zawodzińskiego z Teatru Jaracza. Może akcenty były inaczej położone, ale podobieństw było wiele. Poczynając od metaforycznej scenografii (otaczające scenę lustra i rzędy drzwi to w gruncie rzeczy podobny chwyt), a na eksponowaniu konfliktu wizji świata starszego i młodszego pokolenia kończąc. W tym nowszym *Ślubie* mniej może żywiołu parodii, mniej też aluzji do polskiego dworu. Jest za to Eric Satie, grany na pianinie przez Annę Mrozowską (Manię), jest przeniesiony jakby z jakiejś rock-opery Pijak (Sebastian Jasnoch), jest Kanclerz w skórzanym płaszczu i dziwnej fryzurze (Michał Jóźwik). W takim anturażu pytanie: Po co ci Bóg? nabiera postmodernistycznego posmaku.
A propos Anny Mrozowskiej - nie ukrywam, że od jej wyjścia z wanny wzrok mój ku jej ciału często się kierował, a błądząc po nim raz po raz na tatuaże napotykał. I nie wiem do końca, czy to element znaczący spektaklu był, czy może młoda aktorka prywatne tatuaże prezentowała. *The difference between want and need is self control* - udało mi się odczytać z obnażonego ramienia. Czyżby to nowy, intertekstualny klucz do Gombrowicza? A może jednak zabronić aktorom tatuaży? Trzeba by to chyba sprawdzać przy egzaminach wstępnych - tak jest podobno nawet w rewii Crazy Horse.
Z innych przyczyn patrzyłem uważnie na Mikołaja Chroboczka, świetnego w roli ojca (intrygujący głos, wykorzystanie powierzchowności do rysunku postaci). Brawo! A przecież na scenie pojawili się jeszcze Sebastian Jasnoch, Marcin Miodek i Grzegorz Otrębski. Właściwie nie było tu roli, która nie zasługiwałaby na ciepłe słowo.

Jungle People to zupełnie inna bajka. Przekorna w warstwie wizualnej (dżungla wyglądała jak wyłożona kafelkami pływalnia) i dźwiękowej (agresywna muzyka) opowieść ekologicznego przesłania nie podaje nam w sosie krainy łagodności. *To jest to miejsce, gdzie tylko Wojciech*

Cejrowski daje radę - autor tekstu ma do sprawy sporo dystansu, nie ma za to sentymentalizmu. Dżungla (wspaniała rola demonicznej Marii Szafirskiej) nie jest eteryczną dziewicą. Bliżej jej do demonicznej wiedźmy, chorej w dodatku na jakieś straszne egzemy. Przede wszystkim jednak przedstawienie fascynuje energią zespołowych scen. No i finałowa piosenka: *The Lion Sleeps Tonight.* Na ulicy czy w lesie?

Czwartek

Amok zagrali o 15.30 i chyba odbiło się to na frekwencji. Na widowni (Mała Scena) były wolne miejsca, a szkoda, bo to spektakl wart obejrzenia. Co więcej - to spektakl wart dyskusji. I dyskusje od razu były, i narzekania, i skrajne oceny: że chaos, że naiwność niektórych scen, że sok pomidorowy śmierdzi, że piosenki doklejone, że diagnozy oczywiste - młodociani mordercy zabijają, bo zaniedbania wychowawcze i sztuczny świat mediów. Ja jednak jestem na tak - spektakl Marcina Libera mi się podobał. Był mocny, intrygujący, zagrany zespołowo. Piosenki doklejone? Ale za to jak zaśpiewane - Katarzyna Osipuk powinna dostać nagrodę za najlepszy występ wokalny podczas festiwalu. Że kompozycyjny chaos? A co ma, k..., być, gdy opowiadamy o zamachach i strzelaninach? Analiza w punktach i podpunktach, wstęp, rozwinięcie i zakończenie?
Absolutnym mistrzostwem była improwizowana scena, w której Killer (autentyczny w buntowniczym amoku niedocenionego artysty Piotr Nerlewski - oby nie grał tego prywatnie) reżyseruje wystawienie jego sztuki przez zakładników. Czytajcie, grajcie, a kto źle wypadnie - kula w łeb. Założenie przyjęte przy realizacji tej sceny jest takie, że przeżywa jedna osoba, za każdym razem ktoś inny. Kto najlepiej tego dnia sobie radzi, gra do końca, może przeczytać szaleńcowi jego ulubiony kawałek. Potem szaleniec popełnia samobójstwo. Podczas festiwalowego spektaklu życie wygrała Anna Antoniewicz. Co ciekawe - ja też bym ją wybrał. Może jestem szalony? A może ta scena to idealna metafora festiwalu...
Uwaga na marginesie: Jak to jest, że ze studentami pracuje Michał Kmiecik, ich równolatek, który żadnej szkoły nie ukończył? Taki zdolny? Ależ tu wszyscy zdolni...

No jednak nie do końca. Wieczorem obejrzałem *Poza rzeczywistością* w reżyserii Wiesława Komasy AT Warszawa i zachwiało to moja wiarą w studenckie spektakle. Ta przypadkowa składanka tekstów przygotowana w czasie prób do egzaminu na III roku zawojowałaby może Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich. I nie wiem tylko, czy tak zestarzały się teksty czy konwencja młodopolskiego kabaretu.

Piątek

W Szkole Filmowe dyskusja *Zmierzch teatru repertuarowego*. Dość rytualnie to wszystko przebiegło. Te narzekania na kryzys teatru, na brak etatów dla młodych aktorów, na niekompetencje urzędników od kultury w samorządach. Wszyscy się zgodzili, że teatr repertuarowy jest konieczny, bo zapewnia ciągłość i bezpieczeństwo. Dyskutowano o możliwościach powiększenia liczby teatrów narodowych, o fachowych komisjach oceniających prace dyrektorów teatru, o kryteriach i ewaluacji. Ciekawy był apel dyrektora Piotra Kruszyńskiego, by starsi aktorzy jednak przechodzili na emeryturę i dali szansę młodszym (ilość etatów jest ograniczona). Ciekawy był też głos Mariusza Grzegorzka, który stwierdził, ze kryterium frekwencji może zaciemniać obraz. W teatrach dużo jest komercyjnej miernoty, na którą publiczność przychodzi. Z drugiej strony sporo jest poronionych spektakli, których autorzy w fakcie, że nikt nie chce ich produkcji oglądać, widzą dowód na swoją wybitność. Czyżby myślał o jakichś łódzkich przedstawieniach?

A po południu obejrzałem *Przypadek Klary* z PWST we Wrocławiu. Dramat, farsa, tragifarsa, satyra z ambicjami? - zastanawiają się autorzy programu do spektaklu. Sztuka pokazująca degrengoladę

niemieckiego społeczeństwa okazała się również obrazem degrengolady niemieckiej dramaturgii. *W oczach Tomka stoczę się w otchłań przeszłości*. Po co robić ze studentami tak pretensjonalne teksty? Jak niby można coś takiego powiedzieć?

Moja recenzja "Kamienia" w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego. To chyba jedyny spektakl, na który nie weszli wszyscy chętni.

Sobota

Szkoła z Warszawy pokazała na festiwalu teatr najbardziej tradycyjny, oparty na wielkiej literaturze i klasycznych środkach wyrazu. Dla jednych jest to zaleta, dla innych wada. Jedni i drudzy znajdą argumenty w *Mistrzu i Małgorzacie* Bułhakowa w reżyserii Waldemara Raźniaka, w którym była nawet użyta klasyczna kurtyna i malowane dekoracje. Utwór tak bardzo wielowątkowy i skomplikowany został przez autora adaptacji dodatkowo wzbogacony wątkami biograficznymi postaci Bułhakowa, a także scenami pokazującymi kulisy władzy w ZSRR. Groteskowy Stalin i jego świta stają się kolejnymi bohaterami sztuki, a opozycja: Moskwa lat 20. - Jerozolima czasów Jezusa zostaje zastąpiona opozycją: Stalin i jego świta kontra Woland (Eryk Kulm) i jego świta. Różnica klas jest ogromna, choć w pojedynku na kreacje aktorskie z niewielka przewagą, ale jednak wygrywa Stalin (Katarzyna Ucherska). Nieprzekonująco wypadł Mistrz (Maciej Hanczewski), wygłaszający cały tekst w ten sam sposób. Być może dlatego nieoczekiwanie głównymi bohaterami zostali Woland i Stalin, a całość poszła w kierunku politycznej satyry. Na niedosyt metafizyki lekarstwem nie okazała się nawet dobra scena przygotowań do balu. Ambitne zamierzenie chyba trochę przerosło możliwości.

Po spektaklu korowód publiczności wyruszył do Teatru Jaracza, w którym nie wolno palić (*żebym tu nie spotkał żadnego Jaracza* - żarcik ze spektaklu *Lew na ulicy*). Przejście ulicami Łodzi to był symboliczny spacer - od Patriarszych Prudów do ulic kanadyjskiego miasta ze sztuki Judith Thompson (to jak pielgrzymka do łódzkiego miejsca kultu Lwa, którego kapłanem jest przecież Mariusz Grzegorzek). Po drodze patrzyłem sobie trochę na tych przystojnych chłopców i piękne dziewczyny o hipsterskim nieco wyglądzie. Trudno było się pomylić w określeniu, kto jest z festiwalu.

A *Lew na ulicy*? Dostał owacje na stojąco, które mu się należały i nie należały jednocześnie. Spektakl to bowiem nierówny jak nawierzchnia ulicy Jaracza przed teatrem. Na siłę śmieszne scenki kabaretowe (np. casting, w którym uczestniczy student po wrocławskiej szkole) czy sztuczna i pretensjonalna scena telefonicznego seksu nie zasługiwały nawet na zdawkowe brawa, ale na szczęście więcej było plusów: dobre sceny zbiorowe, konferansjerka Kacpra Pilcha, wywiad ze sparaliżowana Scarlett (Natalia Łągiewczyk) czy świecące Matki Boskie na pustej scenie. W sumie trochę to było podobne do *Amoku*. Dlaczego mężczyzna zabił dziewczynkę? Bo w dzieciństwie był gwałcony przez konkubenta matki, bo dorośli zarażają swym złem następne pokolenia. Pokażmy to w serii scenek, w których kolejni aktorzy wychodzą z tła i grają swoje epizody - pomyślał Cezary Iber, a także Marcin (L)iber.

Niedziela

Z *Cyberiadą* i *Jungle People* na festiwalu było ponoć tak, że król Prorektor i królowa Dziekanna samym poddanym studentom zostawili wybór, którą baśń na wielkim turnieju baśniowych opowieści przedstawić. Żacy długo debatowali, wreszcie obcojęzyczną opowieść wybrali. Ale nie ma tego złego,

co by na dobre nie wyszło - jedna baśń w konkursie nagrodę zdobyła, druga na zakończenie turnieju pokazana została, większą jeszcze publiczność gromadząc.

Karolina Krawczyńska jako maszyna produkująca rzeczy na N pięknie wyglądała w naszyjniku z liczydeł. I jak pięknie i zmysłowo pracowała nad wytworzeniem nicości! (Jako Kometa była za to trochę zbyt wulgarna). Sebastian Jasnoch stworzył wspaniałą rolę charakterystyczną Klapaucjusza, odmieniając się nie do poznania wobec postaci granej w *Ślubie - to był ten sam aktor, naprawdę?* Piękna scenografia, inteligentne paradoksy Lema, efekty specjalne - wszystko świetnie, tylko jak na musical piosenki trochę mało przebojowe. Po kilku godzinach nie potrafię niczego zanucić.

A potem już wręczenie nagród (o czym piszemy w osobnym artykule). Jurora Sebastiana Majewskiego zapytałem o kryteria oceny pracy młodych aktorów. *Dojrzałość, sprawność warsztatowa, gotowość, odwaga, energia - wszystko, co sprawia, że oglądając ich czujemy dreszcze na plecach.* Ciekawe, czy weźmie kogoś do Jaracza, jeśli w końcu dostanie dyrekcję.